



Prawdziwa
karuzela
ze świstającymi
nad głowami kulami.

**Kawiarenka
Kryminalna**

ERIC VAN LUSTBADER

ROBERT

LUDLUM

IMPERATYW BOURNE'A

Prolog

Sadelöga, Szwecja

Wyszła z mgły, a on wciąż biegł, tak jak biegł od wielu godzin, wielu dni. Waliło mu serce, umysł miał przesycony gorzkim poczuciem zdrady, czuł się tak, jakby od tygodni był sam. Sen nie wchodził w grę, odpoczynek należał do przeszłości.

Nie wiedział nic oprócz tego, że wyszła z mgły zaraz po tym, jak nabrał całkowitej pewności — który to już raz? Trzynasty? Piętnasty? — że udało mu się wymknąć. Ale nie, znowu tu była, podążała za nim jak mityczny anioł śmierci, nieprzejednany i niezniszczalny.

Jego życie ograniczało się teraz do ich dwojga. Nie istniało nic innego, nic, tylko oni, śnieg i lód, ściana bieli, na której widniały delikatne jak muśnięcia pędzlem kreseczki rybackich chat, ciemnoczerwonych z białymi zdobieniami, małych i przysadzistych, zawierających tylko to, co niezbędne. Podziwiał ten rozsądek.

Mgła paliła jak ogień, zimny ogień, który pełznąc po kręgosłupie, chwycił za kark, tak jak chwyciła go ona — kiedy? Kilka dni, tydzień temu? Wtedy, gdy byli razem w łóżku, gdy była zupełnie kimś innym, kochanką, kobietą, która szybko odkryła, co zrobić, by zadrzał i rozpląnął się z rozkoszy.

Na wpeł ślizgając się po dużym zamarzniętym jeziorze, potknął się i upuścił pistolet. Już miał się za nim rzucić, gdy usłyszał trzask pękającej gałązki, czysty i ostry jak dźgnięcie nożem.

Dlatego zapomniawszy o broni, pobiegł dalej w kierunku kępy chwiejących się na wietrze sosen. Jego twarz oprószył puszysty śnieg, pokrywając brwi i szpeciniasty zarost — pozostałość po długiej ucieczce przez kontynenty. Chciał obejrzeć się przez ramię i sprawdzić, gdzie jest jego prześladowczyni, lecz nie śmiał tracić ani chwili.

Podążała jego tropem aż z Libanu. Spotkał ją w gęstym od papierosowego dymu zatłoczonym barze w Dahr El Ahmar, chociaż teraz gotów był przyznać, że to ona spotkała jego, że każdy jej gest, każde wypowiedziane słowo zostały zaplanowane. Teraz, gdy wiedział już, że albo ucieknie, albo zginie, wszystko było aż nadto oczywiste. Zmanipulowała go, wykorzystwała — jego, wytrawnego zawodowca. Jakim cudem tak łatwo dał się podejść? Ale wiedział, dobrze wiedział: aniłowi śmierci nie można się oprzeć.

Przystanął wśród sosen, wydmuchując obłoki pary. Było przenikliwie zimno, ale pod zimową kurtką moro czuł, że żywcem płonie. Powiódł wzrokiem po labiryncie czarnych pni, przywarł plecami do najbliższego i wrócił myślą do hotelu, do cuchnącego potem i seksem pokoju, wspominając chwilę, gdy ugryzła go w wargę i zacisnąwszy zęby, syknęła:

— Wiem. Wiem, czym jesteś.

Nie „kim”, tylko „czym”.

Wiedziała. Popatrzył na miasto splątanych gałęzi, dżunglę sosnowych igieł, w której się ukrył. Niemożliwe. Skąd wiedziała? Mimo to...

Znowu trzask pękającej gałązki. Drgnął i obrócił się powoli wokół własnej osi, wszystkimi zmysłami próbując ustalić źródło dźwięku. Gdzie była? Śmierć mogła nadejść w każdej chwili, ale wiedział, że nie będzie szybka. Znał za dużo tajemnic, które pragnęła poznać, w przeciwnym razie zabiłaby go już podczas jednej z ich zwierzęcych schadzek, nocy, które wciąż przyprawiały go o rozkoszne drżenie, chociaż teraz już wiedział, jak blisko był wtedy śmierci. Bawiła się nim — może dlatego, że gdy się kochali, odczuwała taką samą przyjemność jak on.

Roześmiał się bezgłośnie i wykrzywił twarz, drapieżnie obnażając zęby. Co za głupiec! Oszukiwał się, że coś ich łączy, nawet w obliczu najbardziej oczywistych dowodów, że tak nie jest. Jak potężny urok musiała na niego rzucić! Zadrzał, przykucnął, przywarł plecami do szorstkiego pnia i skurczył się w sobie.

I nagle miał tego dość, ucieczka go nagle zmęczyła. Nie, to właśnie tutaj, w tej zamarzniętej dzicy przyjdzie mu podjąć walkę, chociaż nie miał pojęcia, jak ocaleć na tym polu śmierci. Z tyłu dobiegał natarczywy szum morza. Zapach wodorostów, powietrze gęste od soli i fosforu — na Sadelödze Bałtyk był zawsze w zasięgu ręki.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, coś jak cień rzucającej się na haczyku ryby. Jest tam! Widziała go? Chciał się poruszyć, lecz ręce i nogi miał jak z ołowiu. Nie czuł stóp. Powoli odwrócił się i mignęła mu na linii drzew.

Przystanąła i przekrzywiła głowę, jakby intensywnie nasłuchiwała, jakby słyszała jego oddech.

Mimowolnie przesunął językiem po spuchniętej dolnej wardze. Przypomniała mu się wystawa japońskich drzeworytów, dzieł dostojnych, pogodnych i uspokajających — z wyjątkiem jednego, tak słynnego, że wszyscy o nim słyszeli, chociaż mało kto widział je na własne oczy. Teraz wisiało przed nim: obraz kobiety wijącej się z niewysłowionej rozkoszy w giętkich ramionach kochanka-ośmiornicy. Właśnie tak o niej myślał, o niej, o swojej przesładowczyni. W tym dusznym, gorącym pokoju hotelowym poznał głębię — a może wyżyny — ekstazy, jakiej doświadczała kobieta z drzeworytu. Nie, nie żałował tego. Nigdy przedtem nie wyobrażał sobie, tym bardziej się nie spodziewał, że ktoś może dać mu aż tyle przyjemności, ale ona dała i był jej za to wdzięczny, choć za chwilę mogła go zabić.

Drgnął. Nadchodziła. Chociaż jej nie słyszał, chociaż zginęła w labiryncie drzew, czuł, że jest coraz bliżej, że w jakiś niewytłumaczalny sposób ją do siebie przyciąga. Dlatego siedział i czekał, aż się ukaże, zastanawiając się, co wtedy zrobi.

Zostało mu niewiele czasu. Sekundy miały powoli, jakby rozplywały się w wodzie rozbijającej się o skały za kępą sosen. Słyszał, jak go nawołuje, cicho i łagodnie, tak jak wtedy, gdy złączeni, gdy spleceni w ekstazie leżeli na łóżku. Po plecach przeszedł go dreszcz. Umieścił się między nogami i nie chciał ustąpić.

Ale... Miał w zanadrzu kilka sposobów, zaskakujących sztuczek, dzięki którym mógł wyjść z tego cało.

Spuścił głowę i powoli podciągnął kolana do piersi. Musiało się rozpadać, bo przez baldachim najeżonych szpilkami gałęzi przebijało się coraz więcej białych płatków. Z zielonych cienie zrobiły się grafitowe, ciemnoszare, i jeszcze bardziej w nich utonął. Pokrywał go śnieg, lekki jak trzepot anielskich skrzydeł. Waliło mu serce, czuł puls z boku szyi.

Wciąż żyję, pomyślał.

Wyczuł jej obecność, gdy prześlizgnęła się między pniami sosen. Rozszerzyły mu się nozdrza, jak zwierzęciu, które zwietrzyło zapach innego zwierzęcia. Tak czy inaczej, polowanie dobiegało końca. Ogarnęło go coś w rodzaju ulgi. Wkrótce będzie po wszystkim.

Była teraz tak blisko, że słyszał, jak krok za krokiem jej buty miażdżą ostrożnie cienką jak pajęczyna skorupę zamrożonego śniegu. Przystanąła niecałe dwa metry dalej. Padł na niego cień, ten sam, który towarzyszył mu od wielu tygodni podczas daremnej ucieczki na północ i północny zachód.

„Wiem, czym jesteś”, powiedziała, musiała więc wiedzieć, że działa sam. Że nie będzie mógł do nikogo zadzwonić, gdy zagrozi mu niebezpieczeństwo, gdy zagrozi mu ona. Odcięto go od stada, dlatego nie było szans, żeby ktoś ich zaalarmował, czy — co gorsza — zaczął się czepiać, gdyby schwymano go i poddano intensywnemu przesłuchaniu. Ale ona też wiedziała o tajemnicach drzemiących w najmroczniejszych zakamarkach jego umysłu, sekretach, które chciała stamtąd wydobyć jak mięso ze szczypiec homara.

Ośmiornica i homar. Określenia te pasowały do nich bardziej niż jakiegokolwiek inne, tradycyjne.

Znowu wypowiedziała jego imię, lecz tym razem zabrzmiało to kategorięcznie, podniósł więc głowę i spojrzał jej w oczy. Celowała w jego prawe kolano z pistoletu bojowego EAA Witness.

— Dość uciekania — powiedziała.

Kiwnął głową.

— Dość.

Przyjrzała mu się z dziwną życzliwością.

— Przepraszam za usta.

Zaśmiał się krótko i oschle.

— Zdaje się, że potrzebowałem gwałtownej pobudki.

Oczy miała koloru i kształtu dojrzałych oliwek, wyraźne na tle śródziemnomorskiej cery i mocno ściągniętych do tyłu czarnych włosów. Spod kaptura wystawało jedynie kilka niesfornych kosmyków.

— Dlaczego to robisz? Dlaczego? — spytała.

— A ty?

Roześmiała się cicho.

— To proste. — Miała rzymski nos, delikatne kości policzkowe i duże usta. — Bronię bezpieczeństwa mojego kraju.

— Kosztem innych krajów.

— Czy nie tak brzmi definicja patriotyzmu? — Pokręciła głową. — Ale ty nie masz o tym błędnego pojęcia.

— Jesteś bardzo pewna siebie.

Wzruszyła ramionami.

— Taka się urodziłam.

Delikatnie się poruszył.

— Powiedz mi coś. O czym myślałaś, kiedy się kochaliśmy?

Leciutko zmienił jej się uśmiech, lecz nie odpowiedziała.

— A teraz mów — zażądała. — Wszystko o Jihad bis saif.

— Nie — odparł. — Po moim trupie.

Uśmiechnęła się jeszcze inaczej, tak jak wtedy w Dahr El Ahmar, tajemniczym uśmiechem przeznaczonym, jak myślał, tylko dla niego. I miał rację, pomylił jedynie kontekst.

— Nie masz ojczyzny, nie masz we krwi ani odrobiny lojalności. Dopilnowali tego twoi szefowie.

— Każdy jakiegoś ma — zaoponował. — Chociaż wmawiamy sobie, że jest inaczej.

Gdy zrobiła krok w jego stronę, rzucił w nią nożem, który przyciskał do boku. Stała blisko i nie zdążyła zrobić uniku. Zaczęła reagować w chwili, gdy ostrze przebiło parkę z ocieplającej włókniny i utkwilo w prawym ramieniu. Obróciła się o czterdzieści pięć stopni, a wraz z nią obrócił się pistolet. Kiedy opuściła rękę, runął na nią i powalił na plecy. Przygniótł ją całym ciężarem ciała, wbił w śnieg, w pokrytą sosnowymi igłami zamarznąłą ziemię.

Mocno uderzył ją w szczękę. Pistolet leżał w śniegu, trochę dalej. Szybko otrząsnęła się po ciosie i zepchnęła go z siebie. Przetoczył się na bok i zanim zdążyła się poruszyć, chwycił za rękojęść noża i wbił ostrze głębiej. Zaciśnęła zęby, ale zamiast krzyknąć, czubkami palców dźgnęła go w tchawicę. Zakrztusił się, gwałtownie zakasłał i cofnął rękę. Wtedy szybko wyciągnęła nóż z rany. Wąskie ostrze spłynęło ciemną, połyskliwą krwią.

Odchylił się do tyłu, padł na ziemię, chwycił pistolet, podniósł go i wycelował. Kiedy się roześmiała, pociągnął za spust, raz, drugi i trzeci. Broń była nienabita. Co ona knuła? Gorączkowo myślał, a ona sięgnęła za pazuchę i wyjęła glocka, dwudziestkę. Cisnął w nią bezużytecznym pistoletem, wstał, odwrócił się i puścił pędem przed siebie, biegnąc na oślep w stronę morza. To była jego jedyna szansa.

W biegu rozpiął i zrzucił kurtkę, bo pociągnęłaby go na dno. Woda na pewno jest lodowata, tak zimna, że będzie miał tylko pięć, sześć minut, żeby dopłynąć w bezpieczne miejsce, bo potem mróz przeniknie go do kości i znieczuli. Jeszcze później niska temperatura sparaliżuje go, a w końcu zabije.

Wystrzał i kula świsnęła mu tuż obok prawego kolana. Potknął się, wpadł na drzewo, ale odbił się i pobiegł dalej, coraz głębiej i głębiej w las, coraz bliżej i bliżej wody, której szum atakował go jak nadciągająca armia. Zostawiając za sobą obłoki pary, parł naprzód.

Pierwszy błysk skrzacej się wody podniósł go na duchu i ułat-

wił mu oddychanie. Minąwszy linię drzew, popędził przez zasnieszoną trawę, wgrzającą się kępkami między nagie skały stromego brzegu.

Już tam prawie był, gdy poślizgnął się na grudce błota i gdy druga kula, która miała trafić w ramię, musnęła jego skroń. Obrócił się, wyrzucając w bok ramiona, i z zalanymi krwią oczami pobiegł na oślep dalej, aż dotarł na skraj lądu i runął w lodowate głębiny.

• • •

Jason Bourne siedział na środkowej ławce małej łodzi rybackiej i rytmicznie poruszając wędką, spoglądał na rozrzucone wokół skute lodem wysepki. Mieli nadzieję coś złowić, pstrąga morskiego, szczupaka, może okonia.

— Nie przepadasz za tym, co? — spytał Christien Norén.

Bourne otrząpął się i burknął coś pod nosem. Gwałtowna śnieżycza minęła równie szybko, jak się rozpętała. Niebo było lodowate, szare i przytłaczające.

— Nie ruszaj się — upomniał go Christien, niedbale trzymając wędkę. — Ryby straszysz.

— To nie ja. — Bourne zmarszczył brwi i spojrzał na poprzecinaną brązowo-zielonymi pasmami wodę. Przesuwały się w niej jakieś cienie, tańcząc w rytm niesłyszalnej melodii. — To coś innego.

— Oho! — Christien się roześmiał. — Podwodny spisek wychodzi wreszcie na światło dzienne!

Bourne podniósł wzrok.

— Po co mnie tu zabrałeś? Ty też nie przepadasz za wędkowaniem.

Christien długo przyglądał mu się bez słowa. W końcu powiedział:

— O spiskach najlepiej rozmawia się na otwartej przestrzeni.

— Na odludziu. Stąd ta wyprawa.

Christien kiwnął głową.

— Z tym że Sadelöga to nie odludzie.

— Ale łódź i morze już tak.

— To prawda.

— Wiem, że knujesz coś z don Fernandem i obyś miał dobre wytłumaczenie. Z tego, co dowiedziałem się w Waszyngtonie od Petera Marksa...

— Jest źle — przerwał mu Christien. — Nawet bardzo źle. Dlatego...

Bourne uciszył go, przecinając ręką mroźne powietrze. Wskazał za burtę, wodę, która wyrzusiła się nagle jak płetwa grzbietowa wielkiej ryby. Na powierzchnię coś wypływało, coś dużego.

— Boże święty! — wykrzyknął Christien.

Rzuciwszy wędkę, Bourne wychylił się za burtę i chwycił wyplute przez morze ciało.

Rozdział 1

— Same pogłoski, insynuacje, przeczucia i przypuszczenia. — Prezydent Stanów Zjednoczonych rzucił na stół oprawiony w bawolą skórę codzienny raport służb wywiadowczych.

Sekretarz Christopher Hendricks, szef Departamentu Obrony, przytrzymał teczkę ręką.

— Z całym szacunkiem, panie prezydencie — powiedział — myślę, że to coś więcej.

Prezydent przeszył spojrzeniem swego najbardziej zaufanego sojusznika.

— Twoim zdaniem to prawda.

— Tak.

Prezydent wskazał raport.

— Jeśli w ciągu mojej długiej, skomplikowanej kariery politycznej w ogóle się czegoś nauczyłem, to na pewno tego, że prawda niepodparta faktami jest bardziej niebezpieczna niż kłamstwo.

Hendricks zabębnił palcami w okładkę raportu.

— Ale dlaczego? — Zadał to pytanie bez cienia urazy, jakby naprawdę chciał się dowiedzieć.

Prezydent ciężko westchnął.

— Bo bez faktów pogłoski, insynuacje, przeczucia i przypuszczenia rodzą mit. A mit wgryza się w ludzką psychikę jak robak,

ciągle rośnie, wreszcie staje się czymś nienaturalnie wielkim, trwałym i nieusuwalnym. Tak powstał nadczłowiek Nietzschego.

— I uważa pan, że mamy do czynienia z takim właśnie przypadkiem.

— Otóż to.

— Że ten człowiek nie istnieje.

— Tego nie powiedziałem. — Prezydent obrócił się z fotelem, oparł łokcie na błyszczącym blacie biurka i z miną człowieka rozsądnego złożył dłonie jak do modlitwy.

— Po prostu nie wierzę w plotki, nie wierzę, że mógł to zrobić. Że jest do tego zdolny. Nie, w tej chwili w to nie wierzę.

Zapadła cisza. Zza okna Gabinetu Ovalnego, spod żelbetonowych barier strzegących tej świętej ziemi, dochodził przez chwilę szum dmuchawy do liści. Hendricks spojrział w tamtą stronę, ale żadnych nie dostrzegł. Cóż, wszelkie prace wykonywane w Białym Domu i na otaczającym go terenie zawsze były tajne.

Odchrząknął.

— Niemniej mam niezachwiane przekonanie, że człowiek ten stanowi duże zagrożenie dla kraju.

Przy oknie stał maszt z amerykańską flagą z pomarszczonymi jak woda gwiazdami. Prezydent miał przymknięte oczy, oddychał równo i głęboko. Ktoś, kto go nie znał, pomyślałby pewnie, że zasnął.

Po chwili wskazał raport i sekretarz przesunął go w jego stronę. Prezydent otworzył teczkę i zaczął przebijać się przez gęsto zapisane akapity.

— Opowiedz mi o firmie.

— Treadstone działa bez zarzutu.

— Dyrektorzy są na bieżąco?

— Tak.

— Za szybko odpowiedziałeś. Cztery miesiące temu Petera Marksa omal nie zabiła bomba podłożona w jego samochodzie. Prawie w tym samym czasie Soraya Moore została ranna w równie tragicznych okolicznościach w Paryżu.

— Zrobiła, co do niej należało.

— Nie bądź taki przewrażliwiony. Po prostu wyrażam swój niepokój.

— Obydwoje przeszli stosowne badania medyczne i psychologiczne, z pozytywnym rezultatem.

— Bardzo się cieszę, naprawdę. To wyjątkowi ludzie.

— To znaczy?

— Przestań. Nie znam żadnego dyrektora służby wywiadowczej, który regularnie działałby w terenie.

— Tak to u nas robimy. To bardzo mała firma.

— Z założenia, wiem. — Prezydent zrobił pauzę. — A jak się sprawuje Dick Richards?

— Integruje się z zespołem.

Prezydent kiwnął głową. W zamyśleniu postukał palcem w dolną wargę.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Jeśli musisz, zaprzęgnij do tego Treadstone, Marksa, Moore i Richardsa. Ale... — Ostrzegawczo podniósł palec. — Codziennie będziesz składał mi sprawozdania z ich postępów. Chcę faktów, Chris, przede wszystkim faktów. Daj mi dowód, że ten biznesmen...

— Stanowi poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju.

— Wszystko jedno, jak to nazwiesz. Dasz mi dowód, że zasługuje na naszą uwagę, albo twój cenny personel zajmie się innymi niecierpiącymi zwłoki sprawami. Jasne?

— Tak, panie prezydencie. — Hendricks wstał i wyszedł z gabinetu jeszcze bardziej zatroskany niż wtedy, gdy tam wchodził.

• • •

Kiedy przed trzema miesiącami Soraya Moore wróciła z Paryża, zastała zupełnie inną firmę. Po pierwsze, ponieważ zostało naruszone bezpieczeństwo Treadstone — po wybuchu podłożonej w podziemnym garażu bomby, w którym ucierpiał Peter — siedzibę przeniesiono z Waszyngtonu do Langley w Wirginii. Po drugie, pojawił się tam wysoki, chudy jak szczapa, łysiejący mężczyzna o ujmującym uśmiechu.

— Kto mnie wygryzł? — spytała teatralnym szeptem Petera, swego współpracownika i bliskiego przyjaciela.

Marks parsknął śmiechem, objął ją i przytulił. Wiedziała, że chce ją zapytać o szefa Muchabaratu, egipskiego wywiadu wojskowego, Amuna Chaltuma, który zginął podczas jej misji w Paryżu. Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie i ugryzł się w język.

Wysoki chudzielec wychynął ze swojego boksu i podszedł bliżej. Wyciągnął rękę i przedstawił się. Dick Richards. Idiotyczna kombinacja imienia z nazwiskiem, pomyślała Soraya.

— Cieszę się, że pani wróciła — zaczął przyjaźnie.

Przyjrzała mu się nieufnie.

— Niby dlaczego?

— Od pierwszego dnia pracy dużo o pani słyszałem, głównie od dyrektora Marksa. — Rozciągnął usta w uśmiechu. — Jeśli pani chce, z przyjemnością zapoznam panią ze sprawami, nad którymi aktualnie pracuję.

Soraya milczała z przyklejonym do twarzy uśmiechem i wreszcie skinął im głową. Gdy odszedł, spojrzała na Petera.

— Dick Richards? Naprawdę?

— Richard Richards. Brzmi jak z *Paragrafu 22*.

— Co ten Hendricks wyczynia?

— To nie jego robota. Przydzielił go nam prezydent.

Soraya zerknęła na pochylonego nad komputerem Richardsa.

— Mamy w Treadstone wtykę?

— Możliwe — odparł Marks. — Plusem jest to, że podobno świetnie wykrywa i usuwa szpiegowskie programy komputerowe.

Soraya pytała żartem, ale Peter odpowiedział całkiem poważnie.

— A więc co się stało? Prezydent przestał nagle ufać Hendricksowi?

— Myślę — szepnął jej do ucha Marks — że po tym, co się nam przydarzyło, zaczął mieć co do nas wątpliwości.

W końcu pokonali traumę, którą przeżyli przed czterema miesiącami. Długo trwało, zanim Soraya odważyła się wspomnieć o Amunie. Tak jak się spodziewała, Peter przez cały ten czas okazywał jej nieskończoną cierpliwość. Wiedział, że powie mu, kiedy będzie gotowa.

Właśnie zadzwonił Hendricks, wzywając ich na nagłą naradę, i chociaż mieli jeszcze godzinę, zgodnie i bez słowa sięgnęli po kurtki.

— Za czterdzieści minut masz odprawę — przypomniała Peterowi pulchna blondynka imieniem Tricia, kiedy byli w drzwiach. Ale on tylko mruknął coś pod nosem, myśląc już o czymś innym.

Wyszli z biura, potem z budynku, przeszli na drugą stronę ulicy, od swego ulubionego sprzedawcy na skraju parku kupili kawę i bułeczki cynamonowe, po czym pochyleni schronili się pod niepewnym zadaszeniem z nagich gałęzi drzew. Stali tyłem do siedziby firmy.

— Najbardziej okrutne jest to — powiedziała Soraya — że ten Richards jest bystry. Moglibyśmy wykorzystać jego wiedzę.

— Gdybyśmy tylko mu ufali.

Soraya upiła łyk kawy, która trochę ją rozgrzała.

— Moglibyśmy go odwrócić.

— I wystąpić przeciwko prezydentowi.

Wzruszyła ramionami.

— To coś nowego?

Peter roześmiał się i objął ją ramieniem.

— Brakowało mi ciebie.

Soraya zmarszczyła czoło, oderwała zębami pokaźny kęs bułeczki i zaczęła go w zadumie żuć.

— Długo siedziałam w Paryżu.

— Wcale ci się nie dziwię. To miasto trudno zapomnieć.

— Śmierć Amuna mną wstrząsnęła.

Peter był na tyle rozsądny, że zachował swoją opinię dla siebie. Przez jakiś czas szli w milczeniu. Mały chłopiec puszczał z ojcem latawca w kształcie skrzydlatego Batmana. Obaj się

śmiali. Mężczyzna obejmował syna ramieniem. Latawiec wzbijał się coraz wyżej.

Soraya popatrzyła na nich i zadarła głowę. W końcu powiedziała:

— Kiedy dochodziłam do siebie, często myślałam: Co ja właściwie robię? Czy tak chcę spędzić resztę życia? Tracąc przyjaciół, tracąc... — Urwała i przez chwilę nie mogła mówić.

Żywiła do Amuna silne, choć sprzeczne z sobą uczucia. Przez jakiś czas myślała nawet, że go kocha, ale w końcu doszła do wniosku, że się myliła. Odkrycie to jeszcze bardziej podsyciło poczucie winy. Gdyby go nie poprosiła, gdyby jej nie kochał, nigdy nie przyjechałby do Paryża. I wciąż by żył.

Straciwszy apetyt, oddała kawę i resztę bułki bezdomnemu na ławce, który podniósł wzrok i lekko zaskoczony podziękował jej skinieniem głowy. Kiedy odeszli trochę dalej, wyszeptala:

— Peter, nie mogę siebie znieść.

— Jesteś tylko człowiekiem.

— Oj, przestań.

— Nigdy przedtem nie popełniłaś żadnego błędu?

— Tak, jestem tylko człowiekiem — przyznała ze spuszczoną głową. — Ale źle oceniłam sytuację i nie chcę, żeby to się kiedykolwiek powtórzyło.

Milczała tak długo, że Marks się zaniepokoił.

— Chyba nie zamierzasz odejść?

— Zastanawiam się, czy nie wrócić do Paryża.

— Serio?

Kiwnęła głową.

Peter zmienił się na twarzy.

— Poznałaś kogoś.

— Może.

— Tylko nie Francuza. Powiedz, że to nie Francuz.

Soraya bez słowa popatrzyła na wznoszący się coraz wyżej latawiec.

Marks roześmiał się.

— To wracaj — powiedział. — Nie, zostań. Proszę.

— Nie chodzi tylko o to. Tam, w Paryżu, zdałam sobie sprawę, że ciągle trzymamy się cienia, jak pająk sieci, i że życie to jednak coś więcej.

Peter pokręcił głową.

— Chciałbym wiedzieć, co...

Nagle ugięły się pod nią nogi. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie rzucił bułki i kawy, która rozlała się u ich stóp, i jej nie podtrzymał. Zaniepokojony zaprowadził ją do ławki, gdzie usiadła, pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach.

— Oddychaj — powiedział z ręką na jej plecach. — Oddychaj.

Kiwnęła głową i zrobiła, co kazał.

— Co się dzieje, Sorayo?

— Nic.

— Nie kituj specjalście od kitu.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

— Nie wiem. Od wyjścia ze szpitala mam zawroty głowy.

— Byłaś u lekarza?

— Po co? Są coraz rzadsze. To pierwszy od dwóch tygodni.

— No i masz... — Próbując uspokoić Sorayę, Peter głąaskał ją po plecach. — Musisz natychmiast pójść...

— Przestań traktować mnie jak dziecko.

— To przestań się tak zachowywać. — Złagodniał mu głos. — Martwię się o ciebie i nie wiem, dlaczego tak beztriosko do tego podchodzisz.

— Dobrze — mruknęła. — Pójdę.

— Ale nie teraz — dodał, choć tylko półzartem. — Pójdiesz dopiero wtedy, kiedy...

Soraya roześmiała się i w końcu podniosła wzrok. W kącikach jej oczu błyszczały łzy.

— Na tym właśnie polega mój dylemat. — Pokręciła głową. — Nigdy nie zaznam spokoju.

— Aha, chcesz powiedzieć, że na to nie zasługujesz.

Spojrzała na niego i ze słabym uśmiechem wzruszyła ramionami.

— Może powinniśmy wyjaśnić sobie, dlaczego oboje zasługujemy na odrobinę szczęścia. Może skupmy się na tym?

Wstała, odtrącając jego rękę, i ruszyli z powrotem. Bezdomny skończył śniadanie, które mu zafundowała, i spał na boku pod rozłożonym „Washington Post”.

Przechodząc obok niego, słyszeli, że głośno chrapie, jakby nic go nie obchodziło. I może, pomyślała Soraya, naprawdę tak jest.

Zerknęła z ukosa na Petera.

— Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Marks pojaśniał na twarzy.

— Wiesz — odparł z uśmiechem — ja też często się nad tym zastanawiam.

• • •

— Zniknęła? — powtórzył dyrektor. — Jak to zniknęła?

Nad jego głową widniało aktualne credo Mossadu, fragment z *Przypowieści Salomona*: „Gdy nie ma umiejętnego kierownictwa, naród upada; lecz gdzie jest wielu doradców, tam jest bezpieczeństwo”*.

— Po prostu — wyjaśnił Dani Amit, szef Biura Wywiadu. — Mimo naszych licznych wysiłków nie możemy jej namierzyć.

— Ale musimy. — Dyrektor potrząsnął kudłatą głową i wyraźnie wzburzony ściągnął czerwonobrazowe usta. — Rebeka jest kluczem do całej misji. Bez niej utkniemy w martwym punkcie.

— Rozumiem, panie dyrektorze. Wszyscy to rozumiemy.

— W takim razie...

W bładoniebieskich oczach Daniego Amita zagościł bezbrzeżny smutek.

— Po prostu nie wiemy, co robić.

— Ale jak to możliwe? Jest jedną z nas.

— W tym problem. Za dobrze ją wyszkoliliśmy.

— Gdyby tak było, znaleźliby ją nasi ludzie, którzy przeszli takie samo szkolenie. To, że do tej pory im się nie udało,

* Biblia, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1990.

świadczy, że Rebeka jest inna, lepsza od nich. — Nagana była wyraźna i ostra.

— Boję się, że... — zaczął Dani Amit.

— Nie znoszę tego wyrażenia — przerwał mu szorstko dyrektor. — Sprawdzaliście w liniach lotniczych?

— Ślepy zaułek. Nie kontaktowała się z nimi od półtora miesiąca, od tego incydentu w Damaszku. Jestem przekonany, że jej przełożony nie wie, gdzie się podziewa Rebeka.

— A jej telefon?

— Wyrzuciła go albo wyłączyła GPS.

— Znajomi, krewni?

— Wszystkich przesłuchano. Jestem pewny tylko jednego: nikomu o nas nie powiedziała.

— Naruszenie tego protokołu...

Dyrektor nie musiał kończyć. W Mossadzie obowiązywały żelazne zasady. Rebeka pogwałciła najważniejszą.

Dyrektor odwrócił się i zamyślony spojrział w okno swojego biura na najwyższym piętrze wygiętego szklanego gmachu w Herzlii. Po drugiej stronie miasta był ośrodek szkoleniowy Mossadu i letnia siedziba premiera. Dyrektor przyjeżdżał tu, ilekroć wpadał w melancholię, bo wówczas przypominająca mrowisko kwatery główna w śródmieściu Tel Awiwu przytłaczała go i denerwowała. Tymczasem tutaj była fontanna na środku okrągłego podjazdu i klomby pełne pachnących przez cały rok kwiatów, nie wspominając już o pobliskim porcie z flotyllą żaglówek kołyszących się łagodnie na wodzie. W tym lesie masztów było coś kojącego nawet dla Amita, jakby ich obecność dowodziła, że w świecie, gdzie w ułamku sekundy wszystko mogło się zmienić, istnieje jednak coś trwałego.

Dyrektor uwielbiał żeglować. Ilekroć tracił agenta, co, na szczęście, nie zdarzało się zbyt często, wypływał w morze sam na sam z wiatrem i smutnym krzykiem mew. Nie odwracając się, rzucił ostro:

— Znajdź ją, Dani. Dowiedz się, dlaczego nie posłuchała rozkazów. Dowiedz się, co wie.

— Nie mogę...

— Ona nas zdradziła. — Dyrektor odwrócił się gwałtownie i nachylił w stronę Amita, aż fotel zaprotestował, piszcząc pod jego ciężarem. Z każdego wypowiedzianego słowa była siła i władza. — To zdrajczynie. I tak ją potraktujemy.

— *Memune*, nie wiem, czy dobrze jest wyciągać pochopne wnioski — powiedział Amit, tytułując go ich wewnętrznym mianem, „pierwszego pośród równych”.

Kuloodporne i przeciwbombowe szyby były pokryte folią odbijającą światło i uniemożliwiającą zdalny podsłuch, co sprawiło, że każdy czuł się tu trochę jak pod wodą. Oczy dyrektora błyszcząły w świetle stojącej na biurku lampy jak oczy głębinowej ryby zwabionej przez reflektor płetwonurka.

— Wiem, że to twój ulubiony projekt, ale pora przyznać się do błędu. Nawet gdybym chciał rozstrzygnąć wątpliwości na jej korzyść, brakuje nam czasu. Możemy nie zdążyć zapobiec groźbie. Jesteśmy starymi przyjaciółmi i towarzyszami broni. Nie chcę nasyłać na nią Duvdevanu.

Widmo użycia elitarniej jednostki Izraelskich Sił Specjalnych, wyspecjalizowanej w tajnych operacjach na obszarach zurbani-zowanych, zawisło nad Amitem jak miecz Damoklesa. Już samo to, że dyrektor zagroził wprowadzeniem jej do akcji, aby zmusić go do zrobienia czegoś, czego zrobić nie chciał — o czym dyrektor doskonale wiedział — świadczyło, jak wielkie znaczenie ma Rebeka dla bezpieczeństwa ich kraju.

— Kogo wyślesz? — rzucił dyrektor swobodnym tonem, jakby pytał o żonę i dzieci Amita.

— A jej wyjątkowe umiejętności, przydatność dla...

— Zdrada wszystko przekreśliła, nawet jej niezwykły talent. Musimy założyć, że odkryła coś, co kazało jej zejść do podziemia. Co będzie, jeśli zechce sprzedać te informacje komuś, kto da najwyższą...

— Niemożliwe! — wybuchnął Amit.

Dyrektor przyglądał mu się przez chwilę spod wółprzymkniętych powiek.

— Śmiem twierdzić, że do dzisiejszego dnia byłeś przekonany, iż niemożliwe jest również to, że mogłaby nagle zniknąć. — Odczekał kilka sekund. — Prawda?

Amit spuścił głowę.

— Prawda.

— No więc... — Dyrektor splótł palce. — Kto to będzie?

— Ilan Halevy — odparł Amit z ciężkim sercem.

— Babilończyk. — Dyrektor pokiwał głową. Był pod wrażeniem: Ilan zyskał swój przydomek operacyjny po tym, jak niemal w pojedynkę doprowadził do likwidacji irackiego projektu zaawansowanych systemów uzbrojenia. Podczas pościgu zabił ponad dwunastu agentów wroga. — Nareszcie przechodzimy do konkretów.

Dyrektor lubił konkrety, była to jedna z cech, za które go podziwiano. Nie przepadał za nim za jego nieugiętość, jednak to właśnie dzięki niej, dzięki temu, że trzymał ich wszystkich żelazną ręką już od pięciu lat, Mossad mógł żeglować bezpiecznie przez wzburzone wody międzynarodowego szpiegostwa i przeprowadzać tajne operacje na terytorium wroga, dokonując zatwierdzonych przez rząd egzekucji przy ograniczonych do minimum stratach własnych. Śmierć każdego agenta była dla niego fizycznym ciosem, dlatego ilekroć któregoś tracił, odczuwał potrzebę wypłynięcia w morze. Morze koło smutek i oczyszczało umysł.

— Wyślesz go...

— Natychmiast — odparł Amit. — Zna Rebeke jak mało kto.

— Z wyjątkiem ciebie.

Amit wiedział, do czego dyrektor pije, ale nie miał ochoty wdawać się w dyskusję.

— Osobiście zapoznam go z sytuacją. Będzie wiedział to co ja.

Skłamał i podejrzewał, że jego stary przyjaciel dobrze o tym wie, na szczęście dyrektor pominął to milczeniem. Bo jak mógł powiedzieć Babilończykowi wszystko o Rebecce? Nie zamierzał aż tak jej zdradzać, nawet gdyby miał stracić przychylność szefa.

Skłamał, aby uniknąć bezpośredniego rozkazu, który nakazywałby mu ujawnienie Babilończykowi wszystkich związanych z Rebełą tajemnic. Moralny wybór, przed jakim by wtedy stanął, oznaczałby jego koniec, a w najlepszym wypadku koniec skutecznej pracy w Mossadzie.

Zapisał fotel i dyrektor znowu spojrzał na port. Kto wie, o czym myślał.

— W takim razie wszystko ustalone — powiedział tak, jakby mówił do siebie. — Załatwione.

Amit wstał i cicho wyszedł. Dalsza rozmowa była zbędna.

Na korytarzu szalała klimatyzacja. Amit przystanął i na chwilę znieruchomiał, jakby zablądził. Czasem, zależnie od okoliczności, dyrektor zapraszał go na łódź i siedząc obok siebie, opłakiwali wtedy agenta lub agentkę, dobrych znajomych, którzy oddali życie za bezpieczeństwo kraju. Amit wiedział, że znowu będzie musiał przejść przez ten konieczny rytuał, tym razem po śmierci Rebeki.